

Renata Nolbrzak

TWÓRCY Z GMINY DALIKÓW

Dalików, 2012

Wydawca:

Gminna Biblioteka Publiczna w Dalikowie

Zdjęcia:

Paulina Wiktorowska

Druk:

ARSA Pasja & Kolor

Łódź, ul. Piotrkowska 4

tel. 42 633 02 52

Dziękujemy za wsparcie Fundacji Rozwoju Gmin „PRYM”
oraz firmie Juwi Energia Odnawialna Sp. z o.o.

ISBN 978-83-935696-0-1

Wstęp

Wiosną 2012 roku z inicjatywy Gminnej Biblioteki Publicznej w Dalikowie złożony został do Łódzkiego Domu Kultury projekt, zakładający wydanie publikacji poświęconej twórcom ludowym z gminy Dalików. Władze ŁDK-u uznały, że warto zaangażować się w tę inicjatywę.

W ramach projektu powierzono mi przygotowanie publikacji, przedstawiającej sylwetki twórców ludowych z gminy Dalików. Kiedy zaczęłam docierać do potencjalnych bohaterów publikacji, pojawiła się wątpliwość, kogo z nich można zaliczyć do kategorii „twórca ludowy”. Co tak naprawdę jest wyznacznikiem ludowości sztuki? Oficjalna definicja określa sztukę ludową jako całokształt działalności artystycznej lokalnej społeczności wiejskiej. Chodzi oczywiście o szeroko pojętą twórczość, obejmującą plastykę, muzykę, tańce, legendy, bajki, poezję ludową oraz całą artystyczną stronę obrzędów ludowych.

Najprościej mówiąc, sztuka ludowa związana być musi nierozdzielnie z życiem wsi. Ale czy może być związana tylko poprzez artystę, a ściślej poprzez fakt, że żyje on na wsi? Bo czy na przykład malarz - Aleksy Matczak z Idzikowic, z wsią utożsamiający się i związany z nią od urodzenia, tworzący zarówno pejzaże, portrety, jak i obrazy batalistyczne jest artystą ludowym? On sam tak o sobie nie myśli... Zatem postanowiłam porzucić wszelką kategoryzację i przedstawić osoby, które zajmują się jakkolwiek twórczością artystyczną.

Nie ograniczając się do przedstawienia biograficznych notek, prezentuję Państwu zapisy rozmów, przeprowadzonych z bohaterami publikacji. Z artystami rozmawiam nie tylko o ich twórczości, ale także o sztuce w ogóle i o życiu w wielu jego aspektach. Moi rozmówcy podzielili się ze mną, a za moim pośrednictwem, także z Państwem, wieloma cennymi, osobistymi refleksjami.

Oddajemy zatem do rąk Państwa książeczkę, w której znajdziecie rozmowy z sześcioma twórcami, zdjęcia ich prac lub fragmenty twórczości literackiej. Prócz pasji tworzenia łączy ich także to, że są mieszkańcami gminy Dalików. Są to: Aleksy Matczak i Bogna Stępień, których główną dziedziną twórczą jest malarstwo, Jolanta Witczak – hafciarka, Alicja Ciecierska, zajmująca się papieroplastyką, Iwona Czeszczyszyn – poetka oraz Irena Pokora, która równie pięknie haftuje, jak pisze. Odsyłam zatem Państwa do zapisu naszych rozmów, życząc przyjemnej lektury.

Renata Nolbrzak



IRENA POKORA — mieszkanka wsi Domaniew w Gminie Dalików. Emerytowana nauczycielka jęz. rosyjskiego i religii. Jej pasją jest haftowanie, zajmuje się także hodowlą kóz. Od wielu lat spisuje swoje wspomnienia, głównie pod kątem zbieżności losów ze swoją siostrą bliźniaczką. Wycinki spisanych wspomnień pani Ireny stanowią uzupełnienie zapisu fragmentów naszej obszernej, ciekawej rozmowy.

Upływa szybko życie

Przygotowując się do rozmowy z panią Ireną Pokorą, dowiedziałam się, że ma ponad siedemdziesiąt lat, że jest podobno straszną „gadulą”, że kiedyś była nauczycielką języka rosyjskiego, a później przekwalifikowała się na katechetkę. Po przejściu na emeryturę haftuje i... hoduje kozy. Pomyślałam, że porozmawiam z nią o jej twórczości, o miejscu, w którym żyje, czyli o Domaniewie, no i oczywiście o niej samej, o kolejach jej życia. Kiedy pojawiłam się przed jej małym, zielonym, trochę bajkowym domkiem, pani Irena wybiegła (tak, właśnie wybiegła, a nie wyszła) przed dom, zapraszająco wskazując mi drogę. Zdumiona ujrzałam ruchliwą, zwinną, lekko zgarbioną kobietę w płomiennorudej bluzce z marszczonymi

bafiastymi rękawami i tegoż samego koloru, upiętych wysoko włosach. Przekraczając próg zielonego domku znalazłam się w innym świecie. Na środku pokoju duży owalny stół nakryty haftowanym obrusem, wokół sześć drewnianych krzeseł, pod oknem stoliczek z przyrządami do haftowania, a w przeciwnym końcu pokoju duży kaflowy piec. Pod ścianą kredens z poustawianymi na półce grubymi tomami książek. Podłoga z pomalowanych na ciemnobrązowy kolor desek, a nad stołem nisko zawieszona lampa. Siadam przy stole, na wskazanym przez gospodynię miejscu. Pani Irena krząta się po pokoju, wyjmując ciasteczka, kładzie na stole talerzyki, na haftowanej serwecie ustawia szklanki na spodeczkach. Przez uchylone drzwi do kuchni leniwie wkracza czarny kot, zajmując po chwili miejsce przy piecu. Gdybym króciutko miała określić atmosferę tego miejsca i tej chwili, powiedziałabym, że to atmosfera prawdziwego spokoju, wręcz błogości. Wciskam czerwony guziczek dyktafonu i rozpoczynamy rozmowę. Właściwie rozmawiamy odkąd przestąpiłam próg tego domu. Pani Irena zaparząc herbatę, podając ciasteczka zdążyła mi opowiedzieć o swoich czterech kotach, momentami ścisząc głos, żeby nie docierał do kuchni („mąż trochę się denerwuje, właśnie sprząta po jednym z kotków...”), o tym, w jakiej temperaturze sypia i dlaczego połowa drzwi do drugiego pokoju jest przysłonięta kolorową zasłonką. Kiedy rozpoczynamy „właściwą” rozmowę pani Irena przybiera trochę oficjalny, uroczysty ton, ale już po chwili zapomina o włączonym dyktafonie i swobodnie, trochę chaotycznie snuje opowieść, przeplatając ją wieloma dygresjami. Po kilkunastu minutach rozmowy zaciera się formuła pytający – udzielający odpowiedzi, po prostu rozmawiamy, nie tylko o życiu pani Ireny, rozmawiamy o życiu w ogóle... Rozmawiamy o rzeczach wzniosłych, choćby o tym, jakie przewartościowanie nastąpiło w jej życiu po chorobie, ale także o sprawach całkiem prozaicznych: o tym jak zdrowe jest mięso kozie („zapakuję do domu trochę koziej kiełbasy do spróbowania...”), i że hodowla kóz jest całkiem opłacalna.

Opowiadając o kozach, pani Irena bardzo się ożywia. Podchodzi do szafki i wyjmując cały plik sfatygowanych nieco, widać że często przeglądanych, wycinków z gazet. To z nich, między innymi czerpie informacje na temat hodowli kóz i o tym, jakie zalety mają mięso i mleko kozie. Te ostatnie pokazuje klientom, którzy kupują od niej kozinę, mleko, sery. Czy to świadomy zabieg socjotechniczny? Kto wie... Podobne ożywienie ogarnia moją rozmówczynię, kiedy pytam o wykształcenie. Wyciąga z szafki kolejną teczkę z plikiem pożółkłych papierów. Jest tego naprawdę dużo. Przeglądam świadectwa, czytam przypadkowo wybrane: świadectwo ukończenia trzeciej klasy za rok szkolny 1948/1949 – od góry do dołu oceny bardzo dobre. Na samym wierzchu świadectwo Studium Pedagogiczno – Katechetycznego z 1992 roku uprawniające mgr Irenę Pokorę do prowadzenia nauki religii w szkole. – *To było moje marzenie* – mówi pani Irena – *kiedy uczyłam jeszcze języka rosyjskiego, pojechałam do Moskwy na jakiś kurs i w Galerii Trietiańskiej zobaczyłam obraz „Stworzenie świata”. Wtedy przyszło mi do głowy, że chciałabym przekazać młodym ludziom to, co zobaczyłam, zrodziła się myśl, że mogłabym być katechetką.* Po raz trzeci do szafki z dokumentami sięga pani Irena, kiedy proszę, żeby opowiedziała o latach spędzonych w szkole. Proponuje, że przeczyta mi fragmenty swoich wspomnień spisanych kilka lat temu z myślą o publikacji dotyczącej bliźniaczej zbieżności losów, myślenia, odczuwania. Pani Irena ma bowiem siostrę bliźniaczkę, dlatego, jak uprzedzała mnie na początku, nie myśli i nie mówi w liczbie pojedynczej... Tekst, który czyta jego autorka jest barwny, ciekawy, pisany starannym, plastycznym, pobudzającym wyobraźnię językiem. Zawiera zarówno opis wydarzeń, wnikliwe, celne refleksje, jak i cytaty z dzieł naukowych, głównie z dziedziny psychologii. Jej ludowa twórczość, jak się okazuje, obejmuje nie tylko hafty (notabene piękne – pani Irena pokazywała mi precyzyjnie wykonane haftowane serwety, obrusy, poszewki, a nawet... krawaty). Z każdym przeczytanym słowem rośnie moja ciekawość i zachwyt:

*Z domu bez prądu, bez wody, z ciasnego podwórka z rozdeptanym błotem i z kamienną studnią pod gruszą, dostają się w objęcia prawdziwego miasta. Nowy inny świat. Chodniki, brukowane ulice, małe kamieniczki, okazałe budowle, a równolegle co krok, mijam fragmenty ścian domów, strzepy dachów, szkielety schodów i poręczy, całe kominy górujące nad rumowiskiem i gęszcze dzikiego bzu zasłaniające owe góry powalonych budynków. (...) W centrum miasta, ale bez zgiełku i ciasnoty, w sąsiedztwie piętnastowiecznej katedry, ale bez zamiaru górowania przepychem architektonicznym i bez zamysłu pretendowania do pierwszeństwa w randze użyteczności surowa sylwetka gmachu, mistrzostwem duszy i ręki artysty, wkomponowana zostaje w przycupnięte tu i ówdzie domy mieszkalne. (...) A ileż wokół nich pustych placów z rozłożystymi starymi jabłoniami. Tylko w ich szumie usłyszeć można historię tych miejsc, losy mieszkańców i gorzkie ich cierpienie. Kunszt twórczy architektów znalazł również swe urzeczywistnienie w rozwiązaniach wnętrza budowli. Magia przestrzeni, wysokości, szerokich klatek schodowych, rozległych korytarzy, już na wejściu wita przybysza swoistą niepowtarzalnością. (...) Wdzięczna pozostaję po dzień dzisiejszy za dar losu, iż tak ważny okres w moim życiu było mi dane spędzić w murach tej budowli – tak Irena Pokora opisuje gmach liceum, dawniej budynek Szkoły Morskiej w Kamieniu Pomorskim. Dalej wspomina jedną z przygód szkolnych, kiedy jej siostra bliźniaczka prowadzi zamiast niej tzw. próbną lekcję języka polskiego. Historię kończy słowami: *Po czterdziestu czterech latach od owego momentu obserwuję ówczesne zdarzenia, jakby spoglądając w ekran telewizora. Widzę wszystkie szczegóły. Intensywne wypieki na twarzy siostry, nauczycielkę języka polskiego, nawet jej strój: wąską w kolorze brązu spódnicę i zbliżony w odcieniu błezerek, naszego profesora znudzonego, siedzącego tuż przy drzwiach, oraz całą resztę naszego bractwa, ale już nie w szczegółach. Pamięć to wielkie bogactwo ludzkiej świadomości.**

Częścią tego bogactwa podzieliła się pani Irena w rozmowie ze mną. Jestem jej za to prawdziwie wdzięczna.

Skąd pani pochodzi?

Mieszkaliśmy w Białej nad Czarną Strugą, w powiecie konińskim, województwie poznańskim.

Wśród rozległych lasów od zachodu, po wstęgę Czarnej Strugi płynącej od wschodu, założyli swoje gniazdo nasi pradziadowie. Tuż przy wąskiej, polnej drodze, w nierównych odstępach od niej, porozrzucane są chłopskie domostwa. Niektóre chaty na pewno pamiętają początek stulecia, większość powstała w okresie dekady gierkowskiej. Zabudowania z odległości drogi prezentują się nieźle. Bliższe podejście do nich rozwiewa dobre wrażenie o ich solidności i estetyce. (...) Zatrzymam się obok naszego domu. Nie pamięta on tego, w którym przyszliśmy na świat, ale jego otoczenie pozostało z lat naszej młodości, a nawet młodości naszych rodziców. Wejźmy na chwilę do jego wnętrza. Schody do sieni zastępuje duży płaski gładz. Sień z wycementowaną posadzką. W jednym kącie duży pogrzebacz i szczotka do wymiatania żaru z pieca chlebowego, obok rozłożysta miotła.

Zajrzyjmy do kuchni. Mała, niska izdebka. Nieduże okno spoglądające na podwórko, bez firanek, za to zastawione najrozmaitszym zieleń. Tuż przynim maszyna do szycia marki „Singer”. Życie całej naszej rodziny upływało w kuchni. Tutaj przygotowywane były posiłki, odbywało się pranie bielizny, kiszenie kapusty, darcie pierza, odwiedziny sąsiadów. To, czego najbardziej nie lubiłam w naszej kuchni, to wilgoci i wiecznie zaparowanych szyb w oknie. Wyposażenie kuchni stanowił kredens, stół, ława z naturalnej deski, cztery krzesła i pojemnik na drewno. Był to jeden z mebli, który ozdabiał naszą kuchnię, kiedyś używany jako kufer bielizniany. Chociaż dom nasz był ubogi, to dzieciństwo i lata młodości spędzone w nim, będę uważała za najpiękniejszy okres mojego życia.

Jak pani wspomina dzieciństwo?

Moi rodzice byli bardzo zaradni. W dzieciństwie niczego nam nie brakowało. Mówię „nam”, bo mam siostrę bliźniaczkę, z którą zawsze razem szliśmy przez życie. W naszym bliźniaczym życiu jest tyle zbieżności, tyle bogactwa, które powinna dostrzec psychologia. To, że zaistniałyśmy w tym życiu jako bliźniaczki jest dla nas wielkim wyróżnieniem. Widzimy to dopiero teraz, kiedy przekroczyliśmy wiek dojrzały i kiedy budzi się naturalna refleksja nad własnym istnieniem. Dostrzegam fenomen w naszym bliźniaczym, siostrzanym życiu, w naszej osobowości. To, czym żyję, czym się zachwycam, co mnie rani, w konfrontacji z przeżyciami siostry stanowi cenne świadectwo na istnienie wnętrza ukształtowanego specyficznie, bo tak samo. Mamy z siostrą takie same zainteresowania. To nie wzięło się ze szkoły, nasza mama też nie umiała haftować. Za to babcia pięknie szyła. Albo nasza skłonność do pracy, pracowitość... My nie tracimy w życiu ani godziny.

Może to kwestia wychowania...

Nie, to nie wynika z naszego wychowania. To są geny. Interesowałam się tym, wiele na ten temat czytałam. Wracając do dzieciństwa, moi rodzice, jak mówiłam, dobrze sobie radzili. Ogólnie bieda była, takie były czasy, ale nam nie brakowało mleka, jaj. Jedzenie nie było takie tłuste, inaczej się gotowało. No i dziecko musiało pracować, pomagać rodzicom. My z siostrą od siódmego roku życia pasłyśmy krowy. Jeszcze przed szkołą trzeba było wygnać krowy, a po lekcjach szybko się coś zjadło i trzeba było już iść na pastwisko. U każdego gospodarza tak było. Wypasanie krów to był zwykle obowiązek dzieci. A na przykład, kiedy był odpust, to trzeba było narwać chwastów, nie wyprowadzało się wtedy krów. Rwałyśmy cały dzień w sobotę, bo w niedzielę jechało się wozem na odpust. Łąki były chude, nie było trawy, nie było tak, jak dzisiaj. Wtedy kosiło się wszystkie rowy, wszystkie miedze. Każdy kawałek był poszanowany. Ludzie teraz się skarżą, że nic się nie opłaca,

nie ma pracy. Ja uważam, że to nieprawda. Ja na przykład hoduję kozy i mi się to opłaca. Mam łąkę i szkoda by było, żeby leżała pusta. Nie muszę kupować mięsa, mleka. Mięso i mleko kozie mają dużą wartość. Kiedy zajęłam się hodowlą kóz, zaczęłam czytać odpowiednią literaturę. Nabyłam przez to wiedzę, bo trzeba było się podszkolić. Kozie mleko jest łatwo strawne, ma dobroczynny wpływ na organizm. Wskazują na to zarówno badania Szwajcarów i Francuzów, którzy hodują kozy, ale także moje własne obserwacje. Od 20 lat hodujemy z mężem kozy i jesteśmy zdrowi. Mój mąż ma ponad 80 lat i na zdrowie nie narzeka. Być może to nie tylko kwestia jedzenia, ale także genów.

Wróćmy do pani dzieciństwa. Jak wojna przełożyła się na losy pani rodziny?

Miałam 4 lata, kiedy przyszło wyzwolenie, więc sama niewiele pamiętam. Ale rodzice cały czas opowiadali o wojnie. Zapamiętałam pewną historię. W czasie okupacji w każdej wsi był niemiecki komisarz. W mojej parafii, w Królikowie także urzędował niemiecki komisarz. W moim domu często o nim opowiadano. Kiedy przyszło wyzwolenie, jego żonę i dzieci wywieźli. On nie zdążył. Uciekał przed Polakami, pięciu podobno ich było. Chciał uciec przez gołębnik. Zatruli go, dobili widłami, czym się dało. Niech pani pomyśli do czego jest zdolny człowiek...

Ostatnio słyszałam wypowiedź byłego więźnia obozu w Auschwitz. Mówił dokładnie to samo, co pani, że nie chce podkreślać jacy okrutni byli Niemcy, tylko do czego jest zdolny człowiek.

Właśnie... Mój ojciec urodził się przecież wśród Niemców (okolice Pleszewa). Tam we wsi były tylko dwie rodziny polskie. Niemcy żyli w spokoju, przynosili sobie i pożyczali chleb.

Proszę opowiedzieć o swoich szkolnych latach...

To były trudne czasy, nie było tak, że do każdej szkoły przyjmowali. Lekarz nie dał mi świadectwa zdrowia, co uniemożliwiało mi podjęcie nauki w liceum. Ale ja umiałam się wtedy „zakreślić” wokół swoich spraw. Siostrę wysłałam, a byłyśmy bardzo podobne, i dostała zaświadczenie na moje imię i nazwisko. Niestety już było za późno i do Konina, gdzie planowałam składać dokumenty, już nie przyjmowali. Ale w wakacje zobaczyłam w gazecie, że będą przyjęcia i egzaminy do szkoły w Kamieniu Pomorskim. W sierpniu pojechałam na egzamin i zdałam dobrze: z języka polskiego na 4+, z niemieckiego gorzej, bo na 3-, ale zostałam przyjęta. Ja to wszystko jeszcze dziś widzę oczyma wyobraźni. To był rok 1953. Pan Bóg dał mi pamięć i możliwość że mogę to zapisać.

Odnajduję gmach szkoły, w murach której, będę zdawać pierwszy w życiu egzamin. Imponująca bryła budynku wzniesiona na planie litery „L”. (...) Przygotowując tę „świętynię wiedzy” przyszłym pokoleniom, uczyniono wszystko, by rejs po tajemnicach wiedzy upływał we wnętrzach pełnych światła, przestrzeni, możliwości spacerów pośród błękitu nieba, zieleni drzew, zapewniono miejsca dla rekreacji, zabawy i rozrywki. Zaiste, szkoła dla pokoleń młodzieży. Wdzięczna pozostaję po dzień dzisiejszy za dar losu, iż tak ważny okres w moim życiu było mi dane spędzić w murach tej budowli.

Te myśli należą do współczesności. A wówczas...?

Niebawem powróci tęsknota za rodzicami, braćmi, siostrą, za pozostawionym światem, za tym podwórkiem pełnym wszelakiego ptactwa, za zwierzętami, za powietrzem pachnącym inaczej, za dźwiękiem dzwonów kościelnych, za sąsiadami. Ale nowe okoliczności będą miały zbawienny wpływ, aby ukoić smutek rozłąki. Nieoczekiwany przyjazd siostry bliźniaczki przerwał nostalgię za „zaczarowanym światem dzieciństwa”, a trudy uczniowskiej codzienności niosły nowe problemy, zdarzenia, które miały swój udział w pokonywaniu melancholii

i tęsknoty. Nasze rozstanie trwało tylko miesiąc. (...)

Wchodziłyśmy w swą młodość wśród grona młodzieży i rówieśników, ale z własnego wyboru, odizolowane, w swoim ciasnym kręgu dwóch koleżanek, Wali i Czesi. Los był dla nas łaskawy, dając nam możliwość spotkania na progu nowego życia, takich postaci, jakimi były nasze koleżanki. Stanowimy zgrany kwartet. Wspomagamy się wzajemnie radą, pieniędzmi, odzieżą i żywnością. Mały czteroosobowy pokój na poddaszu, który zajmujemy, dopełnia harmonii naszego koleżeńskiego życia. Jest oazą spokoju i bezpieczeństwa po trudach szkolnego dnia. (...) Dostosowałyśmy się do życia i w szkole i w internacie. Obowiązki, jakimi obciążone byłyśmy od najmłodszych lat uczyniły nas odpowiedzialnymi za siebie. Teraz, w nowej szkole, liczyć można było wyłącznie na siebie. Uczeń, albo poradził sobie sam, albo opuszczał mury szkoły.

Podsumowując swoje wspomnienia, powiem: umiejętność mobilizacji do stawienia czoła przeciwnościom i trudnościom, na drodze do realizacji nakreślonego celu, to podstawowa nasza dyspozycja psychiczna, jaką odnajduję w naszych osobowościach okresu licealnego. (...) Zabraknie tutaj wzmianki o naszych nauczycielach i wychowawcach. Nie odczułam ich bliskości, nie odczułam ich zainteresowania na żadnym etapie pięcioletniego pobytu w liceum. Dlatego będę uważała, iż to co zdobyłyśmy, możemy zawdzięczać wyłącznie sobie i okolicznościom. Okoliczności to nasza siostrzana bliskość, to nasze koleżanki, a pod koniec, to atmosfera klasowej łączności i wspólnoty.

Nie próbowała pani wydać swoich wspomnień?

Byłyśmy kiedyś z siostrą na festiwalu bliźniąt w Szczecinie. Spotkałyśmy tam pewne małżeństwo, które chciało opublikować to, co piszę. Dałam im kilka stron i nie wiem, co się z tym stało. Może kiedyś przyjdzie czas, że ktoś się tym zainteresuje i będzie chciał wydać. Już w szkole lubiłam pisać wypracowania na wolny, luźny temat, nie jakiś tam ideologiczny. Myślę, że tym, co piszę powinni zainteresować się Ci, którzy chcą

odpowiedzieć na pytania: co wpływa na osobowość człowieka, czy to wychowanie czy geny? Także ci, którzy badają fenomen bliźniaków jednojajowych. Ja i moja siostra byłyśmy zawsze do siebie podobne nie tylko zewnątrz. Siostra również ma dar pisania. Jest współautorką książki „Moja Syberia” pod redakcją profesora socjologii z Warszawy. Siostra pracowała na Syberii. Kiedy już była na emeryturze, wyjechała tam do polskiej szkoły. Opisała to pięknie. Jedną z ciekawostek, dotyczących naszego bliźniaczego współodczuwania jest pewna znacząca historia. Pewnego razu (moja siostra była wtedy na Syberii), zaczęła mnie nagle boleć noga. Dowiedziałam się później, że w tym czasie moja siostra Marysia złamała nogę. To był taki metafizyczny przekaz. To nie żadna fantazja, to było prawdziwe doznanie.

Jak potoczyły się pani losy po skończeniu szkoły?

Pracowałam przez 10 lat jako nauczycielka języka rosyjskiego. Po 10 latach zdecydowałam się na studium języka rosyjskiego, bo wcześniej miałam tylko maturę. Jednocześnie z siostrą kończymy liceum i po 10 latach dostaję się na studium nauczycielskie a ona na studium języka rosyjskiego w Poznaniu (nie konsultowałyśmy wcześniej tych decyzji), następnie rozpoczynamy studia języka rosyjskiego. Ona w Poznaniu, ja w Łodzi. Kończymy w tym samym roku...

Jak poznała pani swojego męża?

Byłam jego uczennicą w liceum. Pobraliśmy się i do roku 1970 mieszkaliśmy w Kamieniu Pomorskim. Potem przez 12 lat mieszkaliśmy w Zgierzu, a jak tylko przeszłam na emeryturę, to przenieśliśmy się tutaj. Mamy dwóch synów: jeden mieszka w Zgierzu, a drugi w Olsztynie. Jeden jest prokuratorem, a drugi tłumaczem języka angielskiego i hiszpańskiego. Myślę że należę do osób ugodowych. Nie wchodzę w konflikty. Zawsze w szkole żyłam w zgodzie z otoczeniem, ale potrafiłam

też zawsze powiedzieć to, co myślę. Człowiek powinien mieć odwagę powiedzieć komuś prawdę prosto w oczy.

Porozmawiajmy o tym, jak zmiany społeczno-polityczne w kraju przekładały się na pani życie.

Byłam zachwycona, kiedy upadła komuna. Bo zniewoleni byliśmy... Pamiętam jak było w szkole. Kiedy w internacie zobaczyli różaniec, to zabierali... To była wolność? Do kościoła chodziłam cały czas, nie opuściłam żadnej mszy. Ale byli ludzie, którzy bali się wszystkiego. Pamiętam, kiedy już pracowałam w Domaniewie, był rok 70 albo 72, „wędrował” wtedy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Zapowiedziano, że żaden nauczyciel ma się nie pokazywać w kościele. Nasza dyrekcja też się bała, grożono restrykcjami. Ale ja nie musiałam się pokazywać w wielkim tłumie, nie musiałam niczego demonstrować, świątynia była otwarta całą noc, więc można było modlić się w spokoju. Człowiek mógł jednak pozostać wierny swoim zasadom. Kiedy patrzę na to dzisiaj, z perspektywy i porównuję tamte czasy, to dochodzę do wniosku, że to wszystko zależy od człowieka. Bo jeśli w małej rzeczy będzie wierny, to i w dużej będzie. Rzetelny człowiek będzie rzetelnie pracował. System sprawowania władzy zależy od człowieka. To człowiek decyduje, nieważne czy jest z solidarności, czy z innej opcji.

Pani kariera zawodowa jest bardzo znamienita, najpierw była pani nauczycielką jęz. rosyjskiego, a potem... religii.

Marzenia się spełniają. Kiedyś byłam na kursie w dawnym Leningradzie, a dzisiejszym Petersburgu i zwiedzałam tam galerię. Widziałam piękny obraz przedstawiający stworzenie świata. Wielka, piękna przestrzeń, wspaniałe malowidło. Nie wiem jakiego autora. Kiedy to zobaczyłam, stałam, jak urzeczona. To były jakieś lata 80. I wtedy pomyślałam, że bardzo chciałabym o tym opowiedzieć. Że gdybym mogła uczyć dzieci religii, opowiedziałabym im o tym, co zobaczyłam.

I przyszedł taki czas, że zaproponowano mi naukę religii. To nie okoliczności rzeczywistego świata, to Pan Bóg zadziałał. To dzięki temu jestem taka bogata na swój sposób. Ja nigdy wcześniej nie czytałam Pisma Świętego. A potem pisałam z niego egzamin... Przeczytanie Pisma Świętego to był największy przełom w mojej edukacji. Posługuję się często cytatami z niego. Wypisałam sobie niektóre mądre rzeczy, żeby mieć przy sobie. Np.: „Głupiec jeszcze tego samego dnia daje poznać wzburzenie, lecz roztropny ukrywa zniewagi”. Czy to nie są mądre słowa?

„Upływa szybko życie, jak potok płynie w dal”- rozbrzmiewa wokół mnie do dziś melodia popularnej piosenki z pożegnalnego, licealnego balu. Atmosfera tamtych chwil, wraca na życzenie i łagodzi szarość codzienności. Nie ma możliwości powrotu do lat, co minęły i już nie wrócą, ale pamięć oddaje to bogactwo, które zarejestrowała i pozwala cieszyć się tamtą chwilą. To wielki dar świadomości. Jeszcze trochę, już niedługo, a rozstaniemy się wszyscy, niektórzy na zawsze, inni z wątpliwą możliwością spotkania...

IRENA POKORA

- PRACE -





ALEKSY MATCZAK — malarz, poeta, twórca kamiennej galerii sztuki we wsi Idzikowice w gminie Dalików, w której prezentuje swoje obrazy, grafiki i rzeźby wykonane w glinie, drewnie i kamieniu. Człowiek niewykształcony, ale mądry, znający swoją wartość, ale skromny, chłodny, ale serdeczny. Spotykamy się we wnętrzu dzieła jego życia – kamiennym zameczku, w którym wyeksponowane są prace artysty – portrety, pejzaże, obrazy o tematyce batalistycznej, rzeźby z kamienia i drewna.

Kamień na kamieniu

Trochę niechętnie się pan ze mną umówił. Nie lubi pan dziennikarzy?

Nie za bardzo, nie chcę mieć z mediami nic wspólnego. Na rozmowę zgodziłem się, bo jesteście stąd. Nie wypadało odmówić. Czasem jestem zadowolony z artykułów, ale często piszą głupoty, chodzą, pytają sąsiadów co robię, jakie potrawy lubię... Taka dziecinada...

Więc porozmawiajmy o poważnych sprawach. Co pana zainspirowało, żeby podjąć wysiłek samodzielnego wybudowania tej kamiennej galerii?

To przyszło niespodziewanie. Bo kiedy podejmowałem decyzję, żeby zbudować jakieś pomieszczenie na moje prace, nie myślałem o kamieniu. Pomysł z kamieniem przyszedł jakoś nagle. W końcu kamień to coś najtrwalszego, kamień to jest oryginał. Służył człowiekowi od tysięcy lat.

Kiedy pana słucham, nasuwa mi się analogia z Szymonem Pietruszką z powieści „Kamień na kamieniu” Myśliwskiego. Chodzi mi tu o symboliczne znaczenie kamienia. On co prawda nie budował galerii tylko grobowiec. Mam nadzieję, że nie uraziłam Pana tym porównaniem...

Nie, nie... Pamiętam tę książkę, była kiedyś drukowana w gazecie w odcinkach... Tak, ten bohater książki, on rzeczywiście grobowiec budował z kamienia...

Szymon chciał sobie w ten sposób zapewnić nieśmiertelność, zostawić po sobie jakieś świadectwo życia. To także jeden z pana celów, prawda? Czy nie po to przez 25 lat buduje pan te kamienną galerię i wypełnia ją swoimi obrazami i rzeźbami?

To prawda, mam świadomość, że w przyszłości to obrośnie legendą. Za 50 czy 100 lat będą mówić, że taki a taki człowiek, wybudował tę galerię, zameczek z kamienia, znosił kamienie w torbie listonosza lub w bagażniku. Już teraz zresztą mówią w ten sposób, ale wiele w tym prawdy nie ma. Rzeczywiście, kiedy spodobał mi się jakiś kamień, to wsadzałem go na bagażnik albo do torby, ale to jest przecież nie do pomyślenia, żeby te setki ton kamieni przywieźć na rowerze.

Został pan obdarzony ogromnym talentem. Czy to wystarczy,

żeby odnieść sukces?

Jest wielu bardzo zdolnych ludzi na świecie, ale talent musi być poparty solidną pracą, wtedy są efekty. Sam talent to za mało, trzeba go oszlifować, tak jak kamień, pracować nad nim, poszukiwać różnych rozwiązań. Trzeba dotrzeć do sztuki, chcieć ją kochać. Często niestety płytkie jest podejście do sztuki, a człowiek musi mieć jakiś cel w tym tworzeniu, jak bohater książki, o której pani mówiła, w budowaniu grobowca... Musi dążyć do tej nieśmiertelności.

Czy sprzedaje Pan swoje dzieła?

Nie, nie interesuje mnie to. Sprzedaż obrazów to jest biznes, a ja nie mam ochoty zajmować się biznesem. Zresztą po to budowałem tę kamienną galerię, żeby więcej było miejsca na ekspozycję. Gdybym zajął się sprzedażą, to nie byłoby tej galerii, chociaż dużo wcześniejszych moich prac rozeszło się po świecie. Te, które tutaj widać powstały w ostatnim dwudziestolecu. Niechętnie pozbywam się obrazów, bo chcę, żeby jak najwięcej było ich tutaj.

Ale żeby sztuka mogła zaistnieć to musi być zachowana ta relacja artysta - odbiorca, prawda?

Tak, to prawda. Często mówi się, że robi się coś dla siebie. Jeśli człowiek w ten sposób rozumuje, to błąd. Cokolwiek byśmy robili, robimy dla innych. To jest moja życiowa maksyma. Przecież człowiek wszystkiego nie przeżyje, nie zabierze ze sobą. Niektórzy artyści traktują malarstwo jako sposób na zarabianie pieniędzy. Wiadomo, że każdy szuka sposobu, żeby jakoś egzystować, ale sztuka tylko dla pieniędzy, to nie jest sztuka. Natomiast ja sobie żyję skromnie, mam inne możliwości, mam emeryturę, pracowałem przez długie lata jako listonosz. Nie muszę sprzedawać tego, co namaluję. Co prawda płótna,

ramy są bardzo drogie, ale jakoś daję sobie radę. Zamówień mam dużo, ale teraz absorbuje mnie bardzo rozbudowa galerii. Kiedy się z tym uporam to na pewno coś tam w świat pošlę. Nie unikam pokazywania swoich obrazów. Teraz interesują mnie wystawy, chociaż mam mało czasu. Przede wszystkim jednak moim osobistym marzeniem jest stworzenie tutaj czegoś w stylu „prowincjonalnego centrum sztuki”. Tworzę na wsi, mieszkam na wsi, więc chciałem tym ludziom ubogim, nie w sensie materialnym, a w sensie poznawania prawdziwej sztuki sprawić taki podarunek. Niejednokrotnie ktoś przeżył 50, 60 lat a nigdy nie był w muzeum, nie widział prawdziwej galerii.

Ma pan emocjonalny stosunek do swoich prac?

Właśnie o to chodzi, że ja zbyt mocno kocham sztukę. Bo rzeczywiście uprawianie sztuki musi być emocjonalne, tak jak pani powiedziała. Jeśli będziemy traktować sztukę zbyt płytko, to tworzenie nie ma sensu. Ja, kiedy coś tworzę, maluję czy rzeźbię, to wkładam w to wiele serca, dlatego trudno jest mi się z tym później rozstać. Ale przecież, tak jak mówiłem, udostępniam swoje prace. Przyjeżdżają nawet z Kanady, z Francji, ze Stanów Zjednoczonych. Jest to może paradoks - stworzyłem to z myślą o społeczności wiejskiej, a przyjeżdżają ludzie z miasta. Również paradoksem jest to, że nie wszyscy ludzie ode mnie z wioski już tu byli. Miejscowi po prostu mnie nie znają. Znają mój wizerunek taki zewnętrzny tylko, natomiast nie znają mojego wnętrza. Trudno się dziwić. Ja sam po sobie wiem, że kiedy chcę kogoś namalować, to muszę poznać tę osobę. Tak samo sąsiad jeden, drugi czy dziesiąty, żeby zrozumieć moją sztukę musiałby zrozumieć co robię, kim jestem, co kocham. Ale to jest trudne, bo społeczeństwo wiejskie jest zbyt ubogie intelektualnie... Może nie jest po prostu przygotowane do obcowania ze sztuką... Nieprzygotowane to raz, a dwa, że człowiek ze wsi nie ma czasu, żeby z tą sztuką obcować. Dlatego zbudowałem tę kamienną

galerię. Sądę, że moje marzenie się właśnie zrealizowało. Jestem bardzo szczęśliwy z tego powodu, cieszę się bardzo, że dzięki tej wytrwałej pracy osiągnąłem to, co chciałem.

Zanim wrócimy do pana twórczości, porozmawiajmy o pana życiu. Jakie ma pan najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa?

Pamiętam, byłem małym chłopcem, mieszkaliśmy na Ziemiach Odzyskanych, tam było bardzo dużo asfaltów. Ja na tym asfalcie rysowałem czerwoną cegłą i białą kredą. Tworzyły one doskonałą harmonię. Zamalowywałem wtedy całe setki metrów tej powierzchni. Rysowałem, pamiętam sceny wojenne, chciałem oddać okrucieństwo wojny, Hitlera i Stalina, czołgi, bomby itd.

Znał to pan raczej z opowieści niż z własnych doświadczeń?

No tak, w trakcie wojny byłem jeszcze mały, urodziłem się w 1939 roku. Pewnego razu, kiedy rysowałem podszedł do mnie oficer radziecki (ich wojska tam stacjonowały), pochylił się nad rysunkiem i powiedział: „budiesz chudożnikiem, malczuku...”. I pamiętam, wyjął kawałek kartki i ołówek z kieszeni i narysował jakąś postać - to był dobry, fachowy rysunek. Czasem więc żartuję, że odkryli mnie Rosjanie, może stąd właśnie ten mój sentyment do narodu rosyjskiego...

A czy nauczyciele w szkole zwrócili uwagę na pana talent?

Był taki nauczyciel, który uczył mnie rysunku. Zwracał na mnie szczególną uwagę, bo rzeczywiście się wyróżniałem. Pamiętam np. jak mi tłumaczył, jak osiągnąć perspektywę drogi. Pamiętam to, jak dziś. Już wtedy dużo rysowałem, pociągała mnie także bardzo literatura. Trudne jednak było to moje dzieciństwo. Żyłem w bardzo ubogiej rodzinie, samotna matka, trójka dzieci, lata 50. - ciężkie czasy. Dzieciństwa, można powiedzieć,

nie miałem. Od najmłodszych lat byłem zaprzęgnięty do pracy. Chodziłem po służbach, krowy pasalem. Pamiętam, że służyłem pewnemu gospodarzowi z Solcy. Był bardzo religijnym człowiekiem, miał też dużo książek. Podbierałem mu je i wyczytywałem te wszystkie historie związane z Biblią, z Pismem Świętym. Bardzo garnąłem się do książek.

Teraz sam pisze pan wiersze. Zebrał je pan w jakiś tomik?

Nie, nie przywiązuję do tego wagi. Jak zejdę z tego świata, to będą ich lowcy szukać... Ja teraz od wierszy odchodzę, prozę piszę. To jest powieść, a czy mi starczy siły, żeby ją dokończyć, nie obiecuję. Najtrudniej znaleźć na wszystko czas: malowanie, budowlą, praca w gospodarstwie. Poza tym jestem sołtysem, radnym... Wszędzie trzeba coś z siebie dać. Chociaż wiem, że to, co piszę jest dobre, wartościowe, to kawał historii, wielu ludzi tam jest wkomponowanych, wielu znajomych, chociaż także wiele fikcyjnych postaci.

Czy powieść będzie dotyczyła tego miejsca?

Tak, po drodze oczywiście będzie także i to miejsce. Każdy artysta, czy to pisarz, czy malarz opiera się na swoich doświadczeniach, obserwacji drugiego człowieka i samego siebie. Na tym to wszystko polega, malarstwo niczym się nie różni w tym względzie od poezji. Namalowałem np. obraz przedstawiający pastuszkę. Jest tutaj chłodny pomarańczowy kolor, niebo, poranek i tak dalej... Napisałem też wiersz o pastuszkę, w tym wierszu też czuć chłód, te zmarznęte stopy dzieciaka, te bosa nóżki, które się cisną, żeby się ogrzać. Ale ja to sam przeżyłem. Nieraz było zimno do tego stopnia, że jak człowiek boso stał na tej rosie, to szukał miejsca, gdzie krowa mocz oddała, stawało się tam, żeby się ogrzać. To są takie smutne sprawy i może nie powinienem... Zresztą swojego ubóstwa się nie wstydzę. Ubóstwo na pewno nie jest jakimś negatywnym

zjawiskiem. Dzięki niemu wyrobiłem w sobie hart. Wiele było przeciwności losu, ale pokonywałem je. Przeciwności hartują człowieka. Dzięki temu stałem się takim Syzyfem, że nie bałem się ciężaru kamienia, nie przejmowałem się, że odłamki skały raniły ręce. Po prostu dążyłem do wytyczonego celu. Niektórzy mówią, że powinienem żyć gdzieś tam w Warszawie, ale to nieprawda, to tu mam idealne warunki. Przyjechał tu kiedyś jeden pan, oglądał to wszystko, oglądał, a na koniec skwitował, że musiałem się chyba kilka razy urodzić, żeby to wszystko zrobić. Piękne to było sformułowanie, wielce wymowne..

Wróćmy do pana dzieciństwa. W jaki rejon Ziem Odzyskanych wyjechaliście?

To było koszańskie, okolice Wałcza. Tam najpierw pojechał mój wujek i dziadek, który jest na portrecie. Później dołączyła moja matka, która zabrała mnie oczywiście ze sobą. Wujek tam się ożenił, nie żyje już. Dziadek natomiast zginął w wypadku. Cała szkoła z wioski wybrała się na pochód pierwszomajowy do Wałcza. I ja bym pewnie pojechał, ale już nas tam wtedy nie było. Wszystkie dzieci jechały na... przyczepie traktorowej. Mój dziadek zawsze był ciekaw wszystkiego, a pochód pierwszomajowy to było jakieś wydarzenie, więc pojechał z nimi. Traktorzysta, kiedy dojechał na miejsce, tak nonszalancko, z taką fantazją zakręcił, że przyczepa się wywróciła, a dziadek, starszy człowiek, uderzył głową w bruk i na miejscu zmarł. Z nauczycielką też było ciężko, ale przeżyła. Dzieciakom nic się nie stało, leciutkie były, to posypały się z tej przyczepy, ale nic im nie było. Tylko dla dziadka tragicznie się skończył ten pochód pierwszomajowy... Gospodarstwo po wujku przejął jego syn – mój kuzyn. Wcześniej pracował w Niemczech przez 20 lat i wielkiego majątku się dorobił. Ma tam syna i córkę, pożenili się i w Niemczech mieszkają, pracują. A on tutaj emeryturę dostał i przejął to gospodarstwo po swoim ojcu. Bardzo dobrze stoi. Za czasów „Solidarności”, kiedy trwało to szaleństwo wyprzedaży, wykupił sobie, najprawdopodobniej za niewielkie

pieniądze, kilkupiętrowy blok, który był hotelem robotniczym. Kiedy byłem na pogrzebie wuja już 23 rodziny tam mieszkały. Poza tym farmę ma, gospodarstwo – to pracowity, mocny człowiek. Ułożyło im się na tych Ziemiach Odzyskanych...

Pan nie żałuje czasem, że nie zostaliście tam z matką?

Nie, niczego nie żałuję w swoim życiu. Gdybym miał powtarzać swoje życie, to chyba nie zmieniałbym w nim nic. Jestem szczęśliwym człowiekiem, osiągnąłem w życiu swój cel.

Podejmuje pan w swoich pracach wątki historyczne. Sam przeżył pan kilka transformacji ustrojowych. W jaki sposób wpływały one na pana życie?

Jestem człowiekiem o poglądach zdecydowanie lewicowych, chociaż to nie znaczy, że niewierzący jestem, tylko nie wszystko mi się podoba, co się teraz dzieje. Nieraz, jak się obserwuje tę politykę, polityków to naprawdę woła to wszystko o pomstę do nieba. Dobrze, że Rosjanie wyszli, pewno, niech tam sobie idą do siebie, tak należało, ale te nasze wzajemne relacje... Tutaj dobry stosunek sąsiedzki powinien być utrzymany. Pewnie, że istnieją zawiłości dawne, drastyczne, Katyń, wydarzenia naprawdę brutalne, wiemy doskonale co się działo.

Sądzi pan, że nie powinno to determinować przyszłości?

Właśnie, powinniśmy unormować, zweryfikować umowy handlowe i trzymać się Rosjan. Zachód doprowadził do wielkiej niezgody z Rosjanami, a potem to wykorzystał. Żle się dzieje, nasze kontakty nie powinny w ten sposób wyglądać. Może jestem człowiekiem starszego pokroju, ale młodzi przejrzą kiedyś na oczy, zrozumieją, że rzeczywiście nie tędy droga prowadziła. Nie powinniśmy się odcinać. Poza tym wszystkim, ja jako człowiek, który zajmuje się sztuką, literaturą, cenię Rosjan za przepiękną literaturę. W Rosji powstały wspaniałe dzieła.

Weźmy choćby Tolstoja. To dla mnie wielki autorytet. Tak samo Dostojewski czy Czechow. Wielka jest kultura rosyjska. Owszem, pewien prymitywizm tam u nich jest, ale gdzie go tak naprawdę nie ma? W Ameryce czy w Niemczech też jest. Oni twierdzą, że mają wyższą kulturę, niż Rosjanie, ale to nieprawda.

W kwestii literatury rosyjskiej zgadzam się z panem najzupełniej. Ostatnio po raz kolejny, chyba trzeci czy czwarty, czytałem „Wojnę i pokój”. Do tej plejady nazwisk, które pan wymieniał dorzuciłabym jeszcze parę, np. Josifa Brodskiego...

Nie znam go, powiem szczerze. Owszem wiem, że to głośny poeta rosyjski, ale jeszcze go nie czytałem. Szymborską sobie niedawno kupiłem, słabo ją znałem dotąd. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem poezji Poświatowskiej, tę z kolei bardzo dobrze znam. Znam też dobrze Herberta. Mam mało czasu, ale i tak, muszę się pochwalić, że ostatniej zimy przeczytałem kilka książek: „Jądro ciemności” Korzeniowskiego, „Ludzi bezdomnych”, których po raz pierwszy przeczytałem 50 lat temu, „Annę Kareninę”. Przeczytałem też „Ziemię obiecaną” Reymonta. Jestem pod wrażeniem. Ten Reymont to niesamowicie bystry obserwator człowieka. A jak znakomicie opisał te relacje między Żydami, Polakami i Niemcami, stworzył taki realny obraz ówczesnej Łodzi. A wracając do Poświatowskiej, jakież wzruszający jest ten dramat młodej, umierającej kobiety. Mimo walki z chorobą zdobywa się na stwierdzenie: „cóż ja będę robić jak nie będę umierać kilka razy na dobę, czym wypełnię ten czas?” Dla niej umieranie było codziennością. To naprawdę wzruszające. Twórczość wypływająca z żalu, bólu, osobistego cierpienia. To tak jak u mnie – dzieciak borykał się z biedą, z kamieniami, z tym ciężarem ogromnym, bez pomocy niczyjej. Ale dzięki temu hartowi zdobyłem siłę.

Wróćmy do pana twórczości malarskiej. Ile czasu zajmuje panu

przeciętnie namalowanie obrazu?

Malowanie to bardzo szybko, tylko później poprawki... Wszystko zajmuje około 2 lub 3 miesięcy. Czasem siedzę tak wpatrzony w obraz przez długi czas i myślę, jak pokazać to, co chcę wyrazić. Czasem miałbym też ochotę poprawić te obrazy, które namalowałem wcześniej. Tutaj np. jest portret mojej matki, a tam historia parzęczewskiego skarbu. Skoncentrowałem się tu na powstańcach, chciałem oddać ten popłoch, strach i determinację. Tam też jest powstaniec, postać autentyczna, z rodziny Komiczów. Został rozstrzelany w Gorlicach. Tam dalej motyw biblijny: Abraham wypędza swoje nałożnice. Kolejny obraz przedstawia śmierć Piotrowiczowej, kobiety która walczyła w powstaniu. Ja tutaj celowo zatrzymałem ten ułamek sekundy, kiedy jeszcze nie upadła od dźgnięcia bagnietem. Chciałem wyrazić ten ból straszliwy i niepokój o dziecko, bo w ciąży była. Jedną ręką ranę podtrzymuje, a drugą trzyma kosę, którą walczyła do końca. Ten żołnierz na kolejnym obrazie to jest mamy brat, był moim chrzestnym, poległ na wojnie w 45 roku pod Sochaczewem. To naprawdę wzruszające, ten człowiek umarł 70 lat temu, a ciągle żyje na obrazie. Ciężko mi było go malować, bo fotografia jest stara. On był ładnym mężczyzną, zawsze ogolony i w garniturze, natomiast tutaj, w tym znoju i w tej bitwie musiałem go inaczej pokazać. A tutaj zupełnie inny obraz - postać wiolonczelistki. Bardzo lubię muzykę, szczególnie klasyczną, lubię bardzo skrzypce i wiolonczelę, dlatego skrzypaczki czy wiolonczelistki często są bohaterkami moich obrazów.

A kim jest człowiek z tego portretu?

To jest reżyser filmowy, który nakręcił o mnie film, dzięki któremu Kanada i Ameryka o mnie usłyszały. Tutaj jest bitwa kosynierów pod Dobrą, w tej bitwie właśnie Piotrowiczowa poległa. A ten wielki obraz to bitwa pod Dalikowem.

Robi niesamowite wrażenie...

No tak, ale od tych historycznych, batalistycznych obrazów chcę odejść. Chciałem coś abstrakcyjnego malować, ale czuję trochę presję społeczeństwa wiejskiego. Bo oni muszą na obrazie zobaczyć coś konkretnego, żadne abstrakcje do nich nie przemawiają. Wszystko musi być dosłownie, jak jest koń to koń, jak jest żołnierz to żołnierz.

Piękny jest ten obraz z niebieskim tłem...

Tak, jest piękny, chociaż teoretycy sztuki przestrzegają przed nadmiarem niebieskiego, bo on potrafi zdominować. Ale mi to tak sprytnie wyszło, czerwienią i bielą kwiatów doprowadziłem do równowagi, więc ta niebieskość wcale nie dominuje.

Sam pan przygotowuje tę ekspozycję?

Tak, sam. Muszę właśnie dokonać paru zmian. Na przykład ten obraz z chatką, w której się zresztą urodziłem, muszę przenieść gdzieś indziej, nie pasuje tu. Muszę też powyciągać trochę starych obrazów i powywieszać je.

Przydałaby się panu jakaś pomoc.

Ale ja nie chcę pomocy żadnej. Postawiłem sobie za punkt honoru, że zrobię wszystko sam, własnoręcznie. Galerię też zbudowałem sam.

A tu widzę piękne rzeźby, motywy matki z dzieckiem...

No tak, macierzyństwo to jest wdzięczny temat. Kiedy byłem na wystawie Chagalla, (przepiękna to była wystawa!) widziałem tam między innymi obraz zatytułowany „Macierzyństwo”. I nie było na nim bynajmniej matki i dziecka, tylko... krowa z cielakiem. Ale ileż w tych krowich ślepiach było

macierzyńskiej miłości! To bardzo przejmujący obraz. Porównuję mnie czasem do Chagalla...

A pan sam do kogo by się porównał?

Nie wiem, może do Olgi Boznańskiej. Ona co prawda nie malowała wojny, żołnierzy, tematem jej prac był człowiek w codziennym, spokojnym życiu. Innym moim artystycznym mistrzem był profesor Krystyn Zieliński, były rektor Akademii Sztuk Pięknych, zmarł kilka lat temu. Od niego wiele się nauczyłem.

Prof. Zieliński był przecież przedstawicielem awangardy, zajmował się malarstwem abstrakcyjnym, tworzył jakieś instalacje z metalu, struktury przestrzenne. Nie widać jego wpływu artystycznego w pana sztuce. Panu chyba bliżej do impresjonistów?

Ma pani rację, Krystyn Zieliński to awangardzista w każdym calu, a mi faktycznie bliski jest impresjonizm. Nigdy nie wzorowałem się na profesorze, ale wiele mu zawdzięczam, uczyłem się od niego kompozycji, rysunku, to były poważne zajęcia. Dzięki niemu wstąpiłem do klubu, w którym zrzeszają się artyści, intelektualiści. Fotograf z tego klubu zrobił dokumentację moich prac. Napisałem nawet wiersz pamięci profesora Zielińskiego, w którym wykorzystałem skojarzenie kamienia (profesor rzeźbił także w kamieniu) z przemijaniem.

Więc jednak tematy egzystencjalne. I znów ta symbolika... Końcówka tego wiersza brzmi: „w głazie tym Mistrz wykuwał ostatnie swoje pragnienie, ale pod uderzeniem Jego dłuta, głaz już nie krwawił. Teraz wiem dlaczego...”. Pana głazy wciąż jednak żyją. Ciągłe ulepsza pan to swoje wspaniałe, kamienne dzieło. Zadbął pan nawet o otoczenie. Te drzewa wokół

wyglądają jak malarska kompozycja.

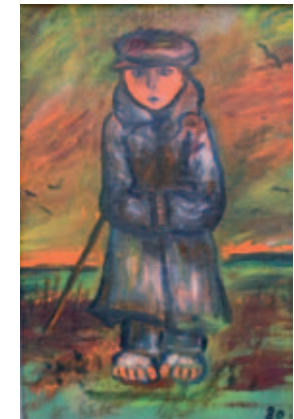
Tu wszędzie było pole. Nakupiłem różnych drzew, pięknie wszystko rośnie. Park się rodzi na moich oczach, od podstaw, wszystko tutaj robię sam i właśnie o to chodzi. Jestem takim Syzyfem XXI wieku, tylko, że mnie bogowie obdarowali tym, że swój kamień na szczyt wtoczyłem, że mój wysiłek nie poszedł na marne. 25 lat ciężkiej pracy, ale udało się. Życia nie zmarnowałem.



- Własnoręcznie wykonana kamienna galeria -

ALEKSY MATCZAK

- PRACE -





BOGNA STĘPIEŃ — urodziła się i wychowała w Łodzi. Dziadek Bogny malował obrazy na płótnie, najczęściej farbami olejnymi, babcia natomiast haftowała obrusy, robiła przepiękne serwety na szydełku i ciepłe swetry na drutach. Całe życie Bogny kręciło się wokół twórczości. Ukończyła Liceum Plastyczne, a później kurs dla animatorów filmu rysunkowego i przez długi czas pracowała jako asystent animatora w studio „Se-ma-for”. W roku 1996 otrzymała od Ministra Kultury tytuł artysty plastyka. Pięć lat temu spełniła swoje marzenia i przeprowadziła się z Łodzi do Kazimierzowa, wsi leżącej w gminie Dalików. Teraz może się spełniać malując obrazy, lepiąc anioły, haftując i rozmyślając o sposobie zainteresowania ludzi swoim rękodziełem. Bogna pisze także wiersze.

Zanim zaczęłyśmy rozmawiać, Bogna pokazuje mi teczkę z wycinkami z gazet... Jest tam między innymi obszerny artykuł z „Wróźki”. Jej redaktorka, Beata Pawłowicz tak opisuje wizytę u Bogny, a właściwie Bogishy (taki pseudonim artystyczny wymyśliła córka artystki):

„Do domu Bogishy jedziemy wąską polną drogą wzdłuż lasu, a potem pomiędzy polami. W oknie małego domku ze spiczastym dachem stoi donica z kwiatami, nad nią kolorowe ozdoby z piór; obok podskakuje z radości biały pudel. Bogisha śmieje się,

że po przeprowadzce na wieś nawet pies odżył. W mieście spał w koszyku wciśnięty w kąt pokoju, a tu szczeka, biega, pilnuje. Tyle tylko, że nie jest już taki biały jak dawniej, bo nawet gdyby go codziennie kąpać, to i tak za chwilę wyjdzie do ogrodu i wytarza się w ziemi, w liściach. W salonie dębowy stół, kredens i komoda. Dziergane na szydełku obrusy, duża kanapa. Przytulnie. Na sztalugach przy drzwiach na taras niezwykle obraz: przed domkiem ze spadzistym dachem drzemie niebieski anioł. W dłoniach trzyma tulipany i czerwoną książkę. – Namalowałam ten obraz jeszcze w Łodzi. Opowiada o moim pragnieniu, by znaleźć taki dom i usiąść w słońcu na progu. I kiedy kilka miesięcy później przyjechałam tu na wieś, żeby zobaczyć dom wystawiony na sprzedaż, wiedziałam, że muszę go kupić. To był właśnie ten z mojego obrazu. W prawym górnym rogu płótna Bogisha wpisała wiersz: „kołyszemy, pochylamy, całujemy oddalamy Aniołowie. Nastrajamy, poprawiamy, otwieramy trudne bramy Aniołowie. Przebaczymy, istniejemy, Aniołowie, Usypiamy, miłujemy Aniołowie. Deszcz pijemy, nic nie jemy Aniołowie. Kwiaty w lustrach szafir niemy Aniołowie”.

Malunki mi wychodzą nieziemskie...

Opowiedz, jak urządziłaś ten dom. Skąd masz takie piękne meble?

Po prostu porozwieszałam ogłoszenia, że szukam starych mebli, starych rzeczy, więc ludzie się do mnie zgłaszali, ale znajdowałam też te meble przypadkiem.

Od jak dawna tutaj mieszkasz?

Mieszkam tu od 5 lat, przeprowadziłam się z Łodzi. Po prostu mieszkanie w bloku mnie strasznie przygnębiało, ograniczało. Tym bardziej, że ja to swoje zbieractwo zaczęłam już wcześniej. Ciągle miałam pełne szafy, wszędzie wszystkiego pełno.

Wszystkiego?

Mebli, półeczek, obrusów haftowanych, jakichś rzeźb, jakichś stolików, jakichś rzeczy do szycia, kawałków materiałów, starych ram.

Skąd to wszystko brałaś?

To było tak, jakby te rzeczy same mnie znajdowały... Ciągle miałam takie wrażenie. Zresztą moja córka też tak kiedyś powiedziała: „Mamo, nas te rzeczy chyba same znajdują, żebyśmy je naprawiły i znalazły im dom”. Ten pajac na przykład miał pół głowy. Zrekonstruowałam go, dziś wygląda, jak nowy. Ale mam też stare rzeczy nie do odnawiania. Na przykład ten obraz na ścianie jest z 1914 roku. No, ale rama to już moje dzieło...

Czyj to obraz?

Podobno namalowano go w obozie jenieckim w Danii, ale nie wiem, kim jest autor obrazu. Kupiłam go na tzw. wystawie. Dużo tam takich cacuszek można znaleźć. Ostatnio np. tę komodę kupiłam. Była bez blatu, no to zrobiłam go z dwóch starych łóżek...

Zdołałaś to sama zrobić? Dociąć, pozbijać, poprzyklejać?

Tak, sama robię wszystko od początku do końca. Daję sobie radę, chociaż jest to wszystko strasznie pracochłonne. Na początku prosiłam o pomoc stolarza, ale jak później zobaczyłam, że on nie jest taki dokładny, jak ja, zaczęłam sobie sama radzić, tak po kobiecemu... A z narzędziami jestem obeznana od dzieciństwa.

Opowiedz o swoim dzieciństwie.

Jako dziecko byłam trochę samotna, tak myślę. Moi rodzice

byli dziennikarzami, pracowali w „Dzienniku Łódzkim”, w „Głosie Robotniczym”.

Czyli zajęci byli bardzo?

Czy ja wiem... Z jednej strony zajęci, z drugiej zabierali mnie na jakieś imprezy, do teatru, kina. Z racji tego, że rodzice byli dziennikarzami i do tego mieszkaliśmy w centrum Łodzi, mieli dostęp do wszystkich kulturalnych imprez. Ja byłam dzieckiem i dla mnie tych bodźców artystycznych było za wiele. Byłam samotnym dzieckiem, bo za dużo się wokół mnie działo. Totalnie mnie to wszystko przerastało. Może stąd później, już w wieku dorosłym, dojrzałam do tego, że mam dość tej prędkości, koncentracji na zarabianiu pieniędzy, mieszkania w Łodzi i tego, że wszystko jest na mojej głowie. Po prostu chciałam mieć ciszę, spokój, chciałam tworzyć. Stąd ten dom, w którym rozmawiamy, dom na skraju wsi, w malowniczej okolicy, w otoczeniu lasów. Kiedyś przyjechała do mnie taka pani redaktor i kiedy jej o tym opowiadałam, stwierdziła, że moja decyzja to był taki skok do basenu bez wody. W ogóle mnie nie zrozumiała, poczułam się jak jakaś nieodpowiedzialna osoba.

Czym się zajmowałaś wcześniej, gdzie pracowałaś?

Wcześniej pracowałam w wytwórni filmów animowanych „Se-ma-for”, później - przy filmie „Eden”. W „Se-ma-forze” zaczęłam pracę jako asystent. Wcześniej skończyłam liceum plastyczne, ale ciągle wątpiłam w swój talent. Dziś patrząc na te dawne prace, stwierdzam, że jednak naprawdę byłam bardzo zdolnym dzieckiem. Pewność siebie też jest w życiu ważna, człowiek powinien wiedzieć co potrafi, doceniać własne umiejętności, a ja tak do końca nigdy nie wierzyłam w siebie. No ale okazało się, że wróbelki ćwirki i inne rysunki, to nie jest żaden problem. Po prostu jest jakiś schemat i na tym buduje się rysunek. Trzy lata pracowałam w „Se-ma-forze”, a kiedy

się rozwiązał dostałam pracę przy filmie „Eden”. Zanim to się jednak stało, pracowałam także w nieartystycznych zawodach: jako recepcjonistka, czy krawcowa wzorów. Szukałam ciągle tej pracy, żeby utrzymać dom. Niestety mój mąż nie był na tyle odpowiedzialny, żeby mi pomagać w takim stopniu, w jakim bym tego oczekiwała. Później, tak jak mówiłam, dostałam pracę przy filmie „Eden” i to było wspaniałe. To był najfantastyczniejszy okres w moim życiu. Poznałam tam wielu wspaniałych ludzi, między innymi, nieżyjącego już, Andrzeja Czeczota. Spotkałam tam ludzi, którzy są animatorami, a takich prawdziwych animatorów od rysunku jest naprawdę na świecie niewielu. Dziś animację robi się już prawie wyłącznie w komputerze, ale to nie to samo. Nie ma tych zmiękczeń wszystkich, nie ma gagów, nie ma tego czegoś, co widać np. w filmach Walta Disneya. Zaobserwować to można dobrze na przykładzie Myszki Miki. Kiedy ogląda się tę nową wersję, widać ogromną różnicę, na niekorzyść niestety wersji komputerowej. Pięć lat pracowaliśmy przy filmie „Eden”. Ogromną satysfakcję sprawiało mi to, że się te moje rysunki podobały. Później, jak skończyliśmy animację, to malowałam celuloidy, bo to wszystko ręcznie było robione. To wtedy, w czasie „Edenu” w moim życiu nastąpił taki przełom, nabrałam przekonania, że jednak coś potrafię.

Kiedy powstał ten film?

W 1996 roku zaczęliśmy go chyba. No i właśnie wtedy, kiedy pracowałam przy tym filmie, odważyłam się wysłać swoje prace do Ministerstwa Kultury. Zebrałam podpisy, jakieś dokumenty. No i dostałam oficjalny tytuł twórcy plastyka.

Co robiłaś, kiedy skończyliście film?

Przez jakiś czas prowadziłam sklep spożywczy. Jego oryginalność polegała na tym, że próbowałam tam także wykorzystać swój talent plastyczny, nie szczędząc pięknych

ozdób. Kolejny przełom to był moment, kiedy stwierdziłam, że nie będę robiła nic więcej innego, niż to, do czego mnie pan Bóg stworzył. Jak nie będę mogła żyć z tego talentu, to po prostu umrę z głodu. Długo to trwało, zanim doszłam do takiego wniosku. Czasami myślę, Boże, ile ja życia straciłam, w jakim miejscu byłabym dzisiaj...

Podobno wszystkie doświadczenia, które nas w życiu spotykają, mają jakieś przełożenie i po coś jednak są, więc może tak musiało być.

Popadłam w marazm w tej Łodzi, tak jakoś to wszystko było ograniczone, człowiek wychodził do pracy, wracał do domu, tak się żyło z dnia na dzień. Cieszę się, że dotarło do mnie, czego naprawdę pragnę: chcę wykorzystywać i rozwijać swój talent. Chcę, żeby moje życie, tak jak moje prace było nasycone. Wszystkie rzeczy, które robię są pełne barw, takie mięsiste, czy to jest sweter, czy to jest obraz, czy cokolwiek innego.

Która dziedzina twórczości jest ci najbliższa?

Najbardziej lubię malować, bo te malunki mi wychodzą takie nieziemskie trochę. Jest też wiele obrazów nienamalowanych, w mojej głowie, całe kolorowe już, czekają na swój czas. Czasami nie wiem, czy warto je malować, ciągle bym chciała robić coś nowego.

Nad czym teraz pracujesz?

Ostatnio maluję „Łęczycanki”, taka praca na zamówienie. Pochłania mnie też urządzanie *Chaty Galanta* - domu weselnego w Zdunach. To dla mnie ogromne wyzwanie. Chciałabym, żeby tam było widać blichtr, ale elegancki taki, a zarazem żeby to było niespotykane, ale jak można wymyślić teraz coś niespotykanego? Jak zobaczyłam projekt i ujrzałam, że to taka ogromna stodoła właściwie, a nie chata, jak sobie wyobrażałam, to pomyślałam:

Boże, jak tu zagospodarować taką przestrzeń. Ale Jola, moja szefowa z Fundacji PRYM, gdzie teraz pracuję, skwitowała: „będziesz miała więcej pola do popisu!” Może coś w tym jest...

A co myślisz o określeniu twórcy ludowy?

Podoba mi się bardzo. Uważam, że każdy, kto tworzy rzeczy, robi je ręcznie jest twórcą ludowym. Ludowy rozumiem jako pochodzący od ludzi. Każdy twórca ludowy moim zdaniem w swoich pracach oddaje motyw przeszłości, ale nadaje temu swoją formę, czyli oddaje jak gdyby kawałek siebie w tę rzeźbę, czy w haft, cokolwiek by to nie było. Ważne jest to pielęgnowanie kultury życia, bo jej poziom niestety zanika. Dzisiaj nikt nie będzie serwetki prasował czy krochmalił, żeby komuś coś elegancko podać. Kupi się w Ikei podkładkę, albo coś innego za 5 złotych i na tym koniec. Twórczość ludowa jest więc bardzo potrzebna.

Jakie masz plany artystyczne?

Mój plan to kontrakt na milion dolarów w Stanach Zjednoczonych, posiadłość Kravitz do urzędu dla jego dzieci, w stylu romantycznym najlepiej. Apropoz marzeń, to Walt Disney powiedział kiedyś, że jeżeli potrafisz o czymś marzyć, to potrafisz tego dokonać. Pięknie powiedziane, aż ciarki przechodzą...

No to szansa na milion dolarów w tej sytuacji całkiem realna...

No, a tak poważnie, to moim marzeniem jest to, żeby więcej ludzi zaczęło cenić tę kulturę życia, o której mówiłam. Zastanawiam się, dlaczego to takie trudne. Myślę, że dzieciom za mało podsuwamy bodźców związanych ze sztuką. Wszyscy tak pędzimy do marketu i do McDonalda, a nie mamy czasu na ważne rzeczy. Tymczasem, jak słuchamy muzyki, czy malujemy, to po prostu nam się zamyka jakaś tam część świata w głowie i odcinamy się od wszystkiego.

Porozmawiajmy jeszcze o twoich pracach. Opowiedz o tym, co robisz prócz malowania obrazów.

Odnawiam stare meble, ostatnio właśnie zrobiłam taki kredens, do tego domu weselnego, o którym mówiłam. Mam taką wizję, żeby tam było trochę koronkowo. Co jeszcze robię prócz tego? Swetry na drutach, to wiesz. No i maluję oczywiście. Maluję farbami olejnymi, akrylowymi na płótnie. No i pastele też.

A te kwiaty z bibuły, które stoją w Fundacji też ty robiłaś?

Nie, to nie ja. One są odwzorowaniem, powtarzaniem, a wszystko co jest odwzorowaniem i powtarzaniem to mnie po prostu doprowadza do pasji. Ja nie znoszę robić jakichś kwiatków, które są ciągle tak samo robione. Za każdym razem trzeba te listki wyciąć w różę tak samo nożyczkami. Owszem mogę zrobić to, nie ma problemu, jeżeli ktoś mnie o to poprosi, ale generalnie szkoda mi na to czasu. Ja lubię bardziej twórcze rzeczy: rysowanie, malowanie, czy choćby odnawianie starych mebli. No i teraz jeszcze doszła stylizacja wnętrza, tak można to nazwać.

Z jakiej swojej pracy jesteś najbardziej dumna?

Najbardziej dumna jestem z mojego dziecka. To jest dzieło mojego życia. Oczywiście ze swoich obrazów też zawsze jestem dumna, ponieważ po paru latach okazuje się zwykle, że one nie kłamały, że te rzeczy się wydarzają. Namalowałam na przykład ten dom, zanim go znalazłam...

Przeglądając tę książkę, która mi pokazałaś, książkę o „Edenie”, znalazłam mnóstwo zasuszonych koniczynek...

Kiedyś je zbierałam. Są tam same pięciolistne, a nawet sześćcio... Dzisiaj ich już nie zbieram. Nie muszę...

Wybrane wiersze Bogny Stępień:

Dusiciel duszy

*Który to raz to samo cierpienie
Mej duszy rozrywa szatę tak już z strzępioną i brudną
Litości wołam nikt nie przychyła ucha .
Daremne wrzaski i pomsta
Kwilenie duszy przerywa martwą ciszę
Pochyla się światło
Widzę przepaść czarną
Bezmiar jak i wir porywa duszę.*

*Nie można już płakać dusza uwięzła
W bezmiarze strachu zastygła jak małpa
Oczy węża hipnozą i całym światem naraz
Tępe spojrzenie pustka i dno.*

Marzenia się spełniają

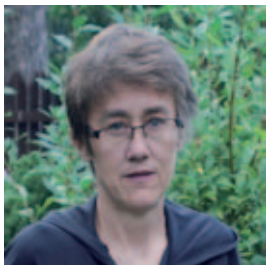
*Na ramionach rozparty mój dom
jak skrzydła aniołów mocny i tęgi
cieplutki, bezpieczny, milutki
z ogniem w kominku
ciepłą zupą i dymem z komina
jak na dzieciennym obrazku.
Marzeniami wyklejone są ściany
słońce tańczy w kryształach
oblekając patchworki na łózkach
jak łąki świetlane ukwiecone latem
brzęczy świerszcza muzyka
a za oknami bezmiar nieba
które otula nas co dzień*

BOGNA STĘPIEŃ

- PRACE -







JOLANTA WITCZAK — 44-letnia mieszkanka Gajówki w gminie Dalików. Haftem zainteresowała się wiele lat temu i odtąd hafciarskie rękodzieło stało się jej pasją. Swoich prac nie sprzedaje, bo musiałyby być... bardzo drogie.

Nitka w prawo, nitka w lewo...

Te hafty na ścianie to pani dzieło? Piękne...

To proste, nitka w prawo, nitka w lewo... Ja już chyba ze 100 tych obrazków zrobiłam.

Skąd u pani ta pasja?

To czysty przypadek. Mam problemy ze zdrowiem. Przyjechała do mnie siostra i przywiozła mi od swojego teścia taki niewielki obrazek do wyhaftowania. Na początku pomyślałam sobie, że przecież nie mam osiemdziesięciu lat, żeby takie rzeczy robić. No, ale mówię, przyjadą następnym razem, zapytają, głupio będzie, więc spróbowałam i... spodobało mi się. Gdybym od razu przyjęła, że nie będę tego robiła, nigdy bym nie wiedziała, że to takie fajne.

Od jak dawna pani haftuje?

Przyznam szczerze, że nie wiem jak to już długo - 6, może 7 lat...

A kim pani jest z zawodu?

Skończyłam liceum ogólnokształcące, więc zawodu nie mam żadnego, ale byłam sekretarką w ośrodku zdrowia kiedyś. Krótko, ale dobrze, że tak krótko.

To trudna praca?

Nerwowa bardzo. Ludzie są różni, w każdym środowisku zresztą. Jak człowiek chciał dobrze, to się okazywało, że wychodziło zupełnie inaczej, niż sobie zamierzałam. Pewnego razu pani doktor, u której się leczyłam, stwierdziła, że powinnam pójść na rentę, że jestem chora i muszę w domu odpoczywać.

Wróćmy do haftów. Co pani najbardziej lubi haftować?

Nie ma reguły, ważne, żeby było trudne, bo jak za łatwe, to się za szybko robi. Haftuję kwiaty, krajobrazy. Papieża robiłam chyba już 12 razy, bo wszystkim się podobało, więc w prezencie otrzymywali...

Ile trwa haftowanie takiego obrazu jak ten?

W tym przypadku zależało mi bardzo na czasie, więc go zrobiłam w 3 miesiące. Zbliżały się urodziny mojego brata i chciałam mu zrobić prezent.

Zdarza się, że przyjmuje pani zamówienia na konkretne rzeczy?

Zdarza się, aczkolwiek rzadko. Wolę robić to, co sobie sama wymyślę, to znaczy wybiorę jakiś wzór (bo te kanwy kupuje się gotowe), a nie to, co się komuś podoba.

A jaki jest koszt wyhaftowania takiego dużego obrazu?

Tutaj jest około 40 kolorów, po kilka motków z każdego

no i 1,50 zł jeden motek kosztuje, więc podejrzewam, że dwie stówki nie wystarczą na nitkę na pewno.

Czemu nie sprzedaje pani swoich prac?

One musiałyby dużo kosztować, a to pewnie byłaby poważna bariera dla potencjalnych klientów. Rozmawiałam kiedyś ze znajomą, mówiła, że ona sprzedaje po 1,5 grosza za krzyżyk. Więc ten obraz musiałby kosztować ponad 1300 zł. Trzeba wziąć pod uwagę, że ja robiłam go przez 3 miesiące, mniej więcej 10 godzin dziennie. No i uwzględnić trzeba koszt kanwy i nici. Podam pani pewien przykład. Kiedy moja mama była w szpitalu, spotkała tam pewną kobietę, która interesowała się haftem i trochę się na tym znała. Przywiozłam jej parę prac do obejrzenia. Dołączyła do nas jeszcze inna pani, która zainteresowała się tymi pracami. Podobało jej się i zapytała ile by to kosztowało. Znajoma mojej mamy powiedziała, że pewnie z 900 zł, ale ta druga pani była przekonana, że to pomyłka, że chodzi o 90 zł... A ja za same nici zapłaciłam 250 zł. I siedziałam przy tym 3 miesiące...

Rozumiem, woli pani to sobie powiesić w domu niż sprzedać za taką nieadekwatną cenę...

Wolę dać komuś w prezencie. Ja jestem zadowolona, że mogę kogoś tym obdarować, a sprzedać obcemu człowiekowi trzy razy taniej niż zapłaciłam za materiał, to bez sensu.

Tym bardziej mogłaby pani sprzedawać, żeby zarobić na materiał.

Powiem szczerze, że nigdy nie robiłam tego, żeby zarabiać. Miałam za dużo czasu, który mi się dłużył i dlatego zaczęłam haftować. Ostatnio czasu mam mniej, bo zmarła moja mama i muszę po prostu ogarnąć wszystko.

Czy pani się uważa za twórczynię ludową?

Ja w ogóle nie uważam się za twórczynię. Ja tylko przenoszę z kartki na płótno i tyle. Gdybym ja sobie sama wymyśliła coś takiego, to co innego.

Myślę, że tego rodzaju odtwórczość, to także forma twórczości...

A ja się będę tego trzymała, że jeżeli ktoś potrafi czytać, to będzie w stanie to zrobić. Nawet kolorów nie trzeba samemu dobierać. Wszystko jest wyrysowane i określone, jakich barw trzeba użyć. Oczywiście trzeba być czujnym. Kiedyś na przykład robiłam zimę i pani przysłała mi komplet zamówionych nici. „Doszłam” do nieba i okazało się, że zostały mi tylko jakieś brązy i pomarańcze. Sprzedawczyni się po prostu pomyliła.

Prezentowała pani gdzieś swoje prace, na jakiś wystawie?

Raz zostałam zaproszona na dożynki w Dalikowie.

A nam pani pokaże więcej swoich dzieł?

Zapraszam do pokoju... Te malwy miałam oprawić, to miała być część tryptyku, były jeszcze do tego słoneczniki, ale komuś się strasznie spodobały no i rozstałam się z nimi. Kiedyś je sobie dorobię. W ogóle jest kilka technik takiego haftu, ale najważniejsza zasada jest taka, że zawsze powinno się krzyżyk w tę samą stronę kłaść. Ja podobno robię odwrotnie niż wszyscy...

Do takiej pracy trzeba mieć dużo cierpliwości...

Tak, to mnie uspokaja, bo wtedy myślę tylko o tym, co robię. Muszę się na tym skoncentrować, ale jednocześnie jest to dla mnie forma wypoczynku.

Powinna pani oznaczać jakoś swoje prace, stworzyć katalog.

Ja tam wiem, które hafty są moje, bo są w drugą stronę nitki...

Ale inni nie wiedzą, że to pani dzieło.

I tak jestem wystarczająco dowartościowana. Na przykład moja siostra powiedziała, że te hafty to naprawdę dobra robota. No i po co mi oceny jakichś obcych ludzi.

Nie ma pani ochoty wystawiać swoich prac na widok publiczny i poddawać ocenie. A przecież to, że komuś by się spodobały, mogłoby dawać wiele satysfakcji.

Wie pani, ja robiąc coś nie zastanawiam się, czy komuś się to będzie podobało czy nie. Mnie to sprawia tyle radochy, że robię to wyłącznie z tego powodu. Jestem od 18 lat na rencie i haftowanie skutecznie zabija mi nudę.

JOLANTA WITCZAK

- PRACE -







IWONA CZESZCZYSZYN — poetka, od 32 lat mieszkanka Dalikowa, autorka dwóch wydanych tomików wierszy oraz całego mnóstwa innych, zalegających szuflady utworów... Bohaterami jej wierszy są zawsze autentyczne postaci: członkowie rodziny, przyjaciele, znajomi – ludzie, których chce uhonorować i upamiętnić.

Ludzie są dla mnie najważniejsi

Wydała pani dotąd dwa tomiki swoich wierszy...

Pisanie to jest taka moja odskocznia, poza tym myślę że piórem, słowem można zatrzymać chwilę. Pierwszy tomik ukazał się za namową mojej serdecznej przyjaciółki, niestety nie żyjącej już Basi, która była przewodniczącą Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Sieradzu. Basia mnie namówiła, bo to akurat się zbiegło w czasie z rokiem rodziny, a ja piszę głównie o rodzinie.

Ten drugi tomik jest utrzymany w podobnym tonie?

Drugi jest zupełnie inny. Z biegiem czasu nasze spojrzenie na świat się zmienia. Zmieniają się okoliczności i my musimy się zmieniać. Drugi tomik pisany był zresztą w specyficznym nastroju, bo po śmierci mojego ojca. I jemu jest głównie poświęcony, chociaż mamie też. Pisałam te wiersze w trudnym

dla mnie okresie, ale proszę nie myśleć, że jest smutny. Wszyscy jesteśmy śmiertelni i widzimy wokół nas ludzi odchodzących, co jest bardzo bolesne, ale trzeba przejść nad tym do porządku dziennego. Niemniej jednak chcemy, żeby coś zostało po tych ludziach, prawda? I dlatego słowa, które się znalazły między innymi w tym tomiku, to są słowa, które słyszałam od rodziców i które po prostu utrwaliłam, żeby następne pokolenia miały jakiś obraz tych, którzy odeszli, a którzy byli naprawdę wspaniali, którzy chcieli nam przekazać, to co najlepsze od siebie. Tak, jak ja swoim dzieciom.

Proszę opowiedzieć o swojej rodzinie.

To jest temat bardzo wzruszający, bo wie pani, każdy uważa swoją rodzinę za najwspanialszą. No i ja też uważam swoją za najlepszą i najbardziej udaną. Pochodzę z Wrocławia. Mój tata korzenie miał w centralnej Polsce, moja mama jest z krakowskiego. Także powstała taka rodzinna mieszanina kultur, ale to wszystko jakoś się wypośredkowało i rodzina naprawdę była świetna. Miałam dwoje rodzeństwa - siostrę bliźniaczkę i nieżyjącego już brata. Siostra właśnie się do mnie wybiera i jestem bardzo podekscytowana tym przyjazdem. Rodzinny dom był całym moim światem, więc kiedy założyłam własną rodzinę, kiedy musiałam już pójść własną drogą, boleśnie odczułam utratę tej dotychczasowej bliskości. Przeżywam to do dnia dzisiejszego. W tej chwili odległość z Dalikowa do Wrocławia nie wydaje się już tak duża, bo i samochody i drogi są lepsze. Z kolei wiek już tak nie sprzyja podróżom. Tej tęsknoty też jest trochę w moich wierszach...

Kim pani mama była z zawodu?

Widzi pani, moja mama była z zawodu... mamą. Spełniała tę rolę bardzo oddanie. Walczyła o te swoje dzieci od małego, aż do dorosłego. I uważała, że na naukę nigdy nie jest za późno, że człowiek całe życie powinien się uczyć. Nawet jeśli jest

dorośli i ma już swoje dzieci, to należy zwrócić mu uwagę, jeśli coś źle robi i pomóc wyprostować życiowe drogi. Tym bardziej, że żyjemy teraz w świecie bez zasad. Młodzi ludzie nie zdają sobie z wielu rzeczy sprawy, ale my w pewnym wieku już zaczynamy widzieć, że świat ogranicza się bardzo do materialności i tego ducha jest bardzo mało, a wrażliwości się nie kupi, chyba nawet nie nauczy. Wrażliwość można w genach odziedziczyć i przejąć od rodziców. Dlatego nasza rola – rola rodziców jest taka ważna. Dużo młodych ludzi jest dziś zagubionych, ale nie zawsze tak jest, bo jeśli się wyniosło z domu dobro, to ono procentuje. Wie Pani, ja mam dwoje dzieci, może nieładnie się chwalić, ale jestem z nich dumna. To mnie napędza. Każe z nas, i ja i mąż, próbowaliśmy przekazać dzieciom pewne wartości, które są potrzebne w dalszym etapie życia. Jeśli się obcuje z kimś bardzo blisko, mam na myśli swojego męża, to zna się go na wylot. Czasami są jednak sytuacje, że się zaskakujemy nawzajem. Ale nie przeszkadzało nam to w ukształtowaniu pewnego modelu rodziny, sposobu wychowania dzieci, które dziś są już dorosłymi, odpowiedzialnymi ludźmi. Mam także dwóch wnuków, starszy gra na skrzypcach razem z tatą. Każdą rodzinną uroczystość nam umila tym graniem. W rodzinach zawsze te fajne rzeczy przenosi się na młodsze pokolenia.

Z pani wierszy wyłania się obraz osoby, która lubi, kocha, nie tylko swoją rodzinę, ale w ogóle ludzi.

To prawda, ludzie w moim życiu są najważniejsi. Nie mówię, że mam szerokie grono przyjaciół, ale są to prawdziwi przyjaciele. Bardzo lubię też poznawać nowych ludzi, lubię między nimi przebywać i obcować z nimi. Lubię i potrafię słuchać innych. Ludzie tak pięknie mówią, warto ich słuchać. Nie wyobrażam sobie życia w kompletnej izolacji, w zamknięciu, nie nadawałabym się na pustelnika.

Czy bohaterowie pani wierszy to autentyczne postaci?

Tak, piszę o konkretnych ludziach, o bliskich, przyjaciółach. Wielu z nich jest dla moich dzieci ciociami, babciami, dziadkami.

Jak ludzie reagują na te wiersze o sobie?

Bardzo miło. Zwykle są zadowoleni. Miałam taką przyjaciółkę, nie żyjącą już, Jadzię, bardzo się cieszyła, że umieściłam ją w tomiku, nie wszyscy się tam znaleźli, niektórzy byli trochę zawiedzeni, ale w moich szufladach jest tego tak dużo, że może kiedyś moje dzieci pozbiierają te wiersze i coś z nimi zrobią.

A jakie wiersze lubi pani czytać?

Wszystkie. Nawet te, których do końca nie rozumiem. Wszystko zależy od naszej wyobraźni. Słowa mają tyle znaczeń, zawierają wiele informacji, trzeba tylko rozbijać naszą wyobraźnię. Nie odrzucam współczesnej poezji, mimo że jest trudna, czasem dołująca. Świat w oczach współczesnych poetów zmierza do upadku, w każdym razie jest bardzo skomplikowany. Myślę, że nie jest dobre takie zapętlanie, zamydlenie... Ja piszę może trochę śmiesznie z tymi rymami, ale piszę tak, że kiedy prosty człowiek to czyta, to jest to dla niego zrozumiałe. Ale moje wiersze miewają zwykle swoje drugie dno. To już zależy od odbiorcy, czy do niego dotrze.

Jacy są pani ulubieni poeci?

Mam takiego ulubionego poetę, przyjaciela - Bogdana Kasprowicza.

Porozmawiajmy o pani związkach z Dalikowem.

Mieszkam tu od 32 lat. Tata bardzo chciał żebyśmy mieszkali w centrum Polski, nigdy nie mówił dłaczego. Dopiero po jego

śmierci odkryłam ten powód. Jestem mu bardzo wdzięczna. I chyba cieszę się, że tu mieszkam. Obcując na co dzień z ludźmi ze wsi, z rolnikami, obserwując ich znojną pracę, człowiek nabiera ogromnego szacunku do ich wysiłku. Człowiek się zżywa z tymi ludźmi i nie chodzi tu o jakieś spotkania towarzyskie. Zmaganie się z przyrodą, z trudami dnia codziennego bardzo zbliża. Myśmy się wychowali z małżonkiem w mieście, tam było inaczej, człowiek z pewnych rzeczy nie zdawał sobie sprawy, nie wiedział jak ogromnym wysiłkiem tworzy się ten chleb. Oboje byliśmy nauczani pracy, ale innego rodzaju. Każdy człowiek ma ten swój kawałek ziemi do przeorania. Obojętnie, czy to jest papier, czy gleba. Trzeba sobie pomagać albo przynajmniej nie przeszkadzać. Dlaczego my jednoczymy się tylko w nieszczęściu? Powinny nas jednoczyć sukcesy, a nawet drobne przyjemności. To mogłoby wiele zmienić. Nie mówię o propagandzie sukcesu, bo to już przerabialiśmy. Chodzi o to, żeby nam się wszystkim lepiej żyło.

Proszę opowiedzieć o swojej karierze zawodowej.

Moja kariera zawodowa była bardzo krótka. Pracowałam w urzędzie gminy. Przeszkodziła mi choroba i musiałam zrezygnować z pracy. Poza tym był czas przełomu, przyszło nowe... Także mój małżonek, który jest lekarzem weterynarii musiał się przestawić na inne tory. Ja mu pomagałam, dzieliłam z nim te trudy. Kariery zawodowej nie zrobiłam, nigdy mi na tym nie zależało. Zresztą kariera to bardzo względne pojęcie. Niektórzy dochodzą do samych szczytów, żeby zobaczyć, że tam nic nie ma. A inni wolą, kiedy efekty pracy są namacalne, widzialne, jak np. to, że się krowa zdrowo wycieli. To sprawiało satysfakcję, także mnie. Zawsze się cieszę, kiedy można tym naszym mniejszym braciom pomóc, jak mówił św. Franciszek.

Zatrzymajmy się przy czasie przełomu...

Wszystko wokół nas się zmieniło. Bolało, bardzo bolało. Niechętnie o tym mówię. Niechętnie to wspominam, gdzieś ta zadra we mnie tkwi i pewnie tak już zostanie. Teraz z perspektywy, wiadomo że te zmiany były konieczne. Wiadomo, że ich chcieliśmy, jak większość, ale czy to poszło w dobrym kierunku? Trudno powiedzieć po tylu latach. Każdy chciałby, żeby to życie było prostsze, nie tak skomplikowane. Dzisiaj każda sprawa do załatwienia jest trudna, wymaga sterty papierów. Rozwija się biurokracja, powielamy tyle rzeczy niepotrzebnie. Komputeryzacja miała ułatwić wiele spraw, a często je komplikuje. Absolutnie nie jestem oponentem postępu. W ogóle uważam, że każdy człowiek powinien się rozwijać do późnej starości, a nie tylko w wieku wzrastania.

Wróćmy do pani poezji. Ma pani ulubiony czy wyjątkowo ważny swój wiersz?

Tak, to wiersz, który poświęciłam swojej mamie:

*Tuli pan kwiatki swe panie tulipanie
bo już pan wie, że kiedy pszczoły nektar wypiją,
samotny pan zostanie w pamięci na dnie.
Róża zapachem kusila i nawet gdy więdla
kielicha do końca nie rozchylila.*

Jest jeszcze jeden wiersz, który bardzo kocham, napisałam go dla ojca ale nie zacytuje go z pamięci.

Od jak dawna pani pisze wiersze?

Zaczęłam już w szkole podstawowej. Jakoś mi te rymy wtedy wychodziły, a później już na zasadzie odreagowania. Czasem przerwy w pisaniu były dłuższe, czasem krótsze. Ale jeśli akurat nie pisałam to raczej z braku czasu, a nie braku weny.

Tęsknoty

*On za nią tęsknił
i ona za nim tęskniła
jakże odmienne
ich tęsknoty były.
On chciał się dzielić
z nią obłokami
a ona jego
nakarmić snami.
Chciał jej pokazać
światła i mroki
choć nie była
z jego epoki.
Ona mu chciała
swe oddać myśli
i ciepłą koldrę
bogom wyśnić.
Chciał jej powiedzieć
kim ona dla niego,
że słowa pragnie
jej serdecznego.
Ona przypomnieć
też jemu chciała
chwile i miejsca,
które kochała.
Lecz się minęły
dwa różne pragnienia
wczorajszej wiosny
z powodu milczenia.
On powołanie
dostał do nieba,
a ona tęsknotą modlitwę mu śpiewa*

*Kocham Cię Piotrusiu Panie i zawsze Cię kochałam
teraz równie mocno jak wtedy, kiedy byłam mała*

Świat

*Kogo obchodzi
wczorajszy sen
wczorajszy strach
wczorajsza idea
kto zada pytanie – dlaczego?
Pogrążeni w niezapłaconych
rachunkach za prąd
manewrowi pilotami TV
żyją dzień po dniu
bez celu.
Klawiatury śpiew
ptaka zastępuje,
pajęczyna anten
niczym las,
kominy bez dymu
dokąd tak podstępnie gnasz?
Przystan na chwilę,
nasyć się chleba zapachem,
ogórka kwaśny
poczuj smak,
nie goń, bo już nie wiem
czy jeszcze ludzką
masz twarz.
Na alarm biją
już tylko poeci
opamiętaj się
świecie.*

Jesienny Pan

*Kocham cię,
Jesienny Panie
i twoje ciepłe
kocham ubranie.
Także twe włosy
z liściem w nie wpiętym,
lubię gdy jesteś
czerwienią przejęty.
Kocham cię,
kolorowo
i na żółto i na bordowo,
kocham cię dziko
jak wino na murze
zostań dziś ze mną,
ale... na dłużej.*

*Przykładam wielką wagę, do rąk ludzkich wytworów
Tak samo wielką jak piękno długich jesiennych wieczorów.*



ALICJA CIECIERSKA — ur. w 1949 roku, twórczyni ludowa z Krzemieniewa w Gminie Dalików. Haftuje, robi biżuterię na szydełku, tworzy różnymi metodami ozdobne karty i zaproszenia.

Rękodzieło to moja pasja

Czym się pani zajmuje?

Ostatnio przede wszystkim robię różne karty, zaproszenia techniką koralikowo - papierową. Haftuję serwety i obrusy, robię biżuterię na szydełku. Przygotowuję dekoracje świąteczne, różne stroiki, choineczki, gwiazdki... Zajmuję się rękodziełem, odkąd pamiętam. Moja mama też miała uzdolnienia w tym kierunku. Była taka uniwersalna, robiła wszystko, zresztą przy piątce dzieci trzeba być dobrze zorganizowanym. Priorytetem była nauka, każde z nas skończyło przynajmniej szkołę średnią.

Pani ma jakieś plastyczne wykształcenie?

Nie, zupełnie nie. Rękodzieło to moja pasja. Mam wykształcenie pedagogiczne. Moja pierwsza praca to była praca wychowawcy w domu dziecka w Grotnikach. Chociaż już tam często zajmowałam się jakimiś plastycznymi zajęciami, robieniem

dekoracji. Pracowałam tam 8 lat, ale byłam już zmęczona. To była praca w niedziele i święta, nie było wolnego w ogóle. No i trzeba być jednocześnie i sprzątaczką, i nauczycielem, i wychowawcą. Za wyniki nauczania odpowiada się tak, jak w szkole.

W jakich latach pani tam pracowała?

Pracowałam tam od 1968 roku. Grupy były liczne - po 30 dzieci. Natomiast były to czasy, kiedy w domu dziecka nie brakowało środków na żywienie, na ubranie. Pieniądze były, nie tak, jak dziś. Jak tylko się chciało coś zrobić, to środki się zawsze na to znalazły. Organizowało się różne imprezy dla tych dzieci. Kiedy robiło się na przykład urodziny, stoły były zastawione, była część artystyczna, były też pieniądze na dekorację, na materiały. Kupowało się franki, narzuty, mebelki. Nie było problemów finansowych.

Praca w domu dziecka to pani powołanie, czy raczej przypadkowo tam pani trafiła?

Trafiłam tam przypadkowo. Zdawałam na SGGW w Warszawie, ale tam z powodu braku miejsc się nie dostałam. Wtedy, trochę przypadkiem trafiłam do studium nauczycielskiego. Później zupełnie się przekwalifikowałam, pracowałam jako główna księgowa w spółdzielni. Wyobrażałam sobie czasem że jestem dyrektorem domu dziecka, ale nigdy że będę główną księgową, ale jakoś to ogarnęłam. No, a potem miałam operację tarczycy, nieudaną operację i od tego momentu już nie mogłam pracować zawodowo. Teraz mam za to czas na rozwijanie swojej pasji.

Skąd pani czerpie inspiracje?

Właściwie, to nigdzie nie podglądam, nie szukam inspiracji. To wszystko to moje pomysły. Na przykład to strusie jajo ozdobione koralikami – sama wymyśliłam wzorki, kolorystykę,

no i sama oczywiście wykonałam. Nie szukam wzorów, nie podpatruję. Jak zaczynam coś robić, pomysły same przychodzą mi do głowy. Robię też kartki z wykorzystaniem haftów. W tym przypadku też nie kupuję gotowych wzorów. Sama je rysuję, a potem wyszywam.

Ile czasu trwa zrobienie takiego strusiego jaja?

Strusie jajo kleiłam chyba z miesiąc. Długo to trwa, bo to bardzo precyzyjna praca.

Robi pani takie rzeczy na zamówienie?

Nie, raczej nie. Jeśli się komuś podoba, to po prostu rozdaję. Czasem sprzedam za przysłowiową złotówkę. Dostaję czasem jakieś zamówienia na karty świąteczne, zaproszenia na śluby, komunie, chrzciny. Poza tym angażuję się w różne rzeczy, gdzie mogę wykorzystywać swoje predyspozycje. Kiedyś była aukcja na rzecz chorego chłopca, przekazałam dużo swoich prac. Dziewczynki, jego koleżanki, też robiły biżuterię i ją sprzedawały. Ostatnio zaangażowałam się też w inne przedsięwzięcie - robiłam dekorację na biesiadę w Krzemieniewie, którą organizowało nowo powstałe stowarzyszenie. Zrobiłam napisy, lampiony z papieru. Bardzo mi się podoba idea tego stowarzyszenia, chciałam jakoś pomóc, a inaczej nie mogę z powodu choroby. W domu też mi bratowa pomaga. Ona mi kupuje na przykład te koraliki. Często wyszukuje w lumpeksach ubrania z koralikami i cekinami. Odpruwam je i mam zapas. Kupujemy też na „Allegro”.

Co to jest według pani twórczość ludowa?

Czasem funkcjonuje przekonanie, że twórczość ludowa to coś gorszego, tak jak wieś jest gorsza od miasta. Ale to się chyba teraz powoli zaciera. Uważam, że ludowość twórczości wynika z tematu prac. Bo jak ktoś mieszka na wsi i maluje obrazy batalistyczne na przykład, to przecież to nie jest twórczość

ludowa. Niektórzy twierdzą, że twórca ludowy to ktoś, kto jest samoukiem, kto nie ma kierunkowego wykształcenia. Ale kiedyś wielu malarzy także nie mieli wykształcenia...

Pani jest rodowitą mieszkanką Krzemieniewa?

Mieszkam tutaj od urodzenia, ale z przerwami. Mama przyjechała z lubelskiego, tata wychował się w Krzemieniewie, w domu obok. Tu gdzie teraz mieszkamy, przed wojną żył Niemiec, nazywał się Krygiel. Mój dziadek został z rodziną wprowadzony zaraz po wojnie do Dalikowa do pałacu, a potem dostał ten dom po Kryglu. I tu mieszkamy do dzisiaj.

ALICJA CIECIERSKA

- PRACE -



- 1. Wstęp** | str. 3
- 2. Upływa szybko życie** | str. 4
rozmowa z Ireną Pokorą
- 3. Kamień na kamieniu** | str. 18
rozmowa z Aleksym Matczakiem
- 4. Malunki mi wychodzą nieziemskie** | str. 33
rozmowa z Bogną Stępień
- 5. Nitka w prawo, nitka w lewo** | str. 44
rozmowa z Jolantą Witczak
- 6. Najważniejsi są dla mnie ludzie** | str. 52
rozmowa z Iwoną Czeszczyszyn
- 7. Rękodzieło to moja pasja** | str. 62
rozmowa z Alicją Ciecierską